

Normalne media w normalnym państwie

Prezydent Lech Kaczyński zaprosił dziś do siebie specjalistów od mediów, aby zasięgnąć ich opinii w sprawie nowej ustawy medialnej. Z prezydentem chcą się także spotkać filmowcy i producenci telewizyjni, m.in. Agnieszka Holland, Krzysztof Krauze, Jacek Bromski i Maciej Strzembosz. Po tym spotkaniu ma zapaść decyzja, czy ustawa uchwalona przez Sejm, przyjęta przez Senat, będzie przez prezydenta zawetowana czy skieruje ją do Trybunału Konstytucyjnego. W grę wchodzi tylko te dwie możliwości, bowiem opinia kancelarii prezydenta jest jednoznacznie negatywna, jeśli chodzi o możliwość podpisania tej złej ustawy. Odrzucenie weta prezydenta będzie wymagało 3/5 poselskich głosów, a odesłanie jej do Trybunału Konstytucyjnego umożliwi poprawienie tych przepisów, które zdaniem sędziów są sprzeczne z Konstytucją.

Pierwsza droga do przyjęcia ustawy będzie krótka, jeśli do odrzucenia prezydenckiego weta przyłączy się lewica, natomiast drugie rozwiązanie jedynie opóźni wejście ustawy w życie. Jak długo to potrwa, nie wiadomo, gdyż trudno przewidzieć, jakie przepisy zdaniem Trybunału będą uznane za niekonstytucyjne i co należy z nimi zrobić. Obie drogi jednak niebezpiecznie przybliżają nas do radykalnej zmiany usytuowania mediów publicznych w Polsce. Będzie to zmiana, która może zaważyć na kształcie i pozycji kultury narodowej i to na wiele lat, także wtedy, gdy Platforma nie będzie już rządzić.

Nie znając jeszcze szczegółów spotkania z prezydentem, można bez cienia wątpliwości stwierdzić, że opinia zaproszonych ekspertów na temat ustawy będzie jednoznacznie krytyczna. Co ciekawe, nie ma w Polsce żadnego środowiska twórczego: dziennikarskiego, muzycznego, filmowego, autorskiego, producenckiego, itd., które nie potwierdziło swojej negatywnej oceny ustawy.

Komu się nie podoba ustawa?

Ustawa się nie podoba specjalistom, których do pracy nad projektem zaprosiła szefowa sejmowej komisji kultury. Nie podoba się do tego stopnia, że jej autorzy zaprzeczają dziś, że mieli z nią cokolwiek wspólnego. Ustawa nie podoba się licznym środowiskom katolickim, patriotycznym, narodowym, konserwatywnym. Zastrzeżenia do ustawy zgłosili także polscy biskupi. Ustawa nie podoba się bezpośrednio zainteresowanym, czyli tym, którzy pracują w mediach publicznych, choć ich głosu, zapewne z obawy przed represjami, nie było słyhać. Zwolnienie z pracy 60 doświadczonych dziennikarzy radio i telewizji za „odchylenie pisowskie” i zbyt mały entuzjazm do nowego kierownictwa mediów publicznych spod znaku Samoobrony i LPR, było skutecznym ostrzeżeniem.

Ustawa nie podoba się widzom i słuchaczom radia zaniepokojonym utratą swoich programów i audycji. Symboliczny strajk dziennikarzy Programu II radia dowodzi, że na ustawie najbardziej straci Polskie Radio i te jego Programy, które zajmują się wyłącznie misją publiczną. Ustawa nie podoba się Europejskiej Unii Nadawców, która już ponad pół roku temu wskazywała rządowej koalicji błędne podejście do reformy mediów, wyliczając podstawowe mankamenty. Kilka dni temu ustawę bardzo

skrytykowała Organizacja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (OBWE), wytykając ustawodawcom brak zagwarantowania w ustawie finansowania mediów publicznych, upolitycznienie mediów i brak redakcyjnej autonomii nadawców. Co charakterystyczne obie międzynarodowe organizacje podkreślają wielkie znacznie, jakie odgrywają media publiczne w nowoczesnym państwie. Podkreślają konieczność zachowania ich autonomii jako organizacji obywatelskich, niezależnych od struktur państwa. Na marginesie ostatniego orzeczenia niemieckiego Federalnego Trybunału Konstytucyjnego w Karlsruhe, który potwierdził model Unii Europejskiej jako związku suwerennych państw i nakazał zmiany w prawie wewnętrznym w celu wzmocnienia i ugruntowania suwerenności, należy zapytać ustawodawców z Platformy Obywatelskiej czy wyobrażają sobie podobny kierunek działania w Polsce bez publicznych mediów?

Kto forsuje ustawę?

Komu zatem ustawa się podoba? Przede wszystkim pomysłodawcy rozwalenia mediów publicznych, premierowi Donaldowi Tuskowi. To on osobiście ogłosił pomysł zniesienia abonamentu, nazywając go haraczem, niezasłużoną daniną, podatkiem. Spowodował tym samym zapaść finansową mediów publicznych, nim jeszcze powstał projekt nowej ustawy, zresztą drugi już autorstwa Platformy Obywatelskiej. Zachowanie premiera zachęcające do niepłacenia abonamentu było nie tylko nieodpowiedzialne, ale i niezgodne z prawem, gdyż premier odpowiada konstytucyjnie za kondycję spółek skarbu państwa, a takimi są przecież spółki Telewizja Polska S.A. i Polskie Radio SA. Media publiczne miały własne samodzielne, niezależne źródło finansowania, czyli abonament. Zastąpienie go dotacjami z wiecznie „dziurawego” budżetu spowoduje, że media publiczne dołączą do obszernej listy stale niedofinansowanych dziedzin, których najdobitniejszym symbolem jest służba zdrowia. W konsekwencji jednak premier Donald Tusk nie zapewnił nawet tego, by media, które w warunkach kryzysu wzięły dodatkowo na garnuszek państwa, miały jakiegokolwiek finansowanie.

Nowa ustawa w ogóle nie przewiduje finansowania mediów publicznych i fakt ten może tylko potwierdzać, że za determinacją zmiany obecnego status quo mediów kryją się cele zupełnie inne, dalekie od deklarowanych w ustawie. Obawiam się, że mediów publicznych ma w Polsce w ogóle nie być albo mają w niedalekiej przyszłości zmienić swoich właścicieli. Nasi „liberałowie”, nie oglądając się na skutki, dążą do prywatyzacji tego, co jest państwowe, np. służby zdrowia czy szkolnictwa, jednak żeby sprywatyzować media publiczne, musieli i właśnie to robią, wyrwać je spod bezpośredniego finansowania obywateli i uzależnić od dalszych swoich decyzji. Drugim life motywem wystąpień Donalda Tuska w kwestii mediów publicznych była konieczność ich odpolitycznienia. Tymczasem obecne rozwiązania ustawowe jeszcze bardziej uzależniają media od bieżącej polityki. Świadczy o tym budżetowy, czyli uznaniowy sposób ich finansowania przy współudziale ministra finansów, oraz ostatnie choćby posunięcia ministra skarbu państwa, który ratował przed odwołaniem posłuszne sobie kierownictwa telewizji i radia, potwierdzając tym samym, że są one na bieżąco sterowane przez polityków Platformy Obywatelskiej.

Z ustawą utożsamia się, jak ze swoim stałym miejscem pracy, czyli „Gazetą Wyborczą”, szefowa komisji kultury posłanka Iwona Śledzińska-Katarasińska. Jej bezprecedensowy upór w forsowaniu na siłę całych zapisów ustawy oraz wyjątkowa umiejętność uzasadniania jako słusznych, pożądanych i logicznych zwykłych bubli prawnych dowodzi, że z roli, jaką jej powierzono, starała się wywiązywać szczególnie starannie. Jej prośba do środowisk twórczych, które zaprosiła na „konsultacje” do Sejmu, by zwracały się na piśmie ze swoimi opiniami do komisji sejmowej, wypowiedziana w przeddzień pierwszego czytania ustawy w Sejmie, dowodzi, że nie brakowało jej także właściwego stopnia tupetu. Za ustawą stoi cała sejmowa i senacka Platforma Obywatelska, która każde przeforsowanie ustawy odbiera w kategoriach zwycięstwa nad opozycją.

O ustawie ciepło wypowiadała się lewica do czasu, kiedy Sejm uwzględnił poprawkę Senatu o przywróceniu do zapisów ustawy wartości chrześcijańskich, jakimi powinny się w swoich działaniach kierować media publiczne. Zapewnienia lewicy o zaakceptowaniu weta prezydenta należy uznać za chwilowe odreagowanie. Ocieplenie wróci, bo „liberalna” Platforma w większości realizuje program zgodny z oczekiwaniami lewicy, a w bardzo wielu sprawach ma te same poglądy. Poseł Małgorzata Kidawa-Błońska zaangażowała się w obronę dwóch czy trzech dziennikarzy radiowych, znanych z lewicowych przekonań, skrzywdzonych jej zdaniem przez prezesa radia Krzysztofa Czabańskiego i Jerzego Targalskiego, ale do dziś milczy o obecnych masowych zwolnieniach z pracy wielu utalentowanych i znanych ze swoich niezależnych poglądów dziennikarzy.

Beneficjenci nowej ustawy

W końcu za powodzenie ustawy trzymają kciuki właściciele mediów prywatnych, to znaczy dwie ogólnopolskie telewizje i dwie duże prywatne krajowe sieci radiowe, które łącznie obejmują 90 procent rynku mediów elektronicznych. Cała reszta to telewizyjna i radiowa drobniaczka, która w tej grze w ogóle się nie liczy. Prywatne medialne koncerny są faktycznymi beneficjentami ustawy, gdyż osłabienie mediów publicznych i skierowanie ich w kierunku likwidacji poprzez komercjalizację, pod którą, o czym świadczą przykłady z innych dziedzin reformowanych przez rząd, kryje się prywatyzacja, spowoduje, że otrzymają one w prezencie to wszystko, czego media publiczne nie będą mogły zagospodarować. A więc rynek reklam i rynek odbiorców. Te dwa rynki są od siebie wzajemnie uzależnione. Dobry program (produkt) stwarza szansę większej oglądalności czy słuchalności, a te wskaźniki mają z kolei bezpośrednie przełożenie na ilość zamówień reklamowych. Większa ilość pieniędzy z reklam pozwala więcej inwestować w program i w ten sposób przepaść między mediami prywatnymi i publicznymi będzie się pogłębiać. Każdy dobry pracownik mediów publicznych będzie mógł być „kupiony” przez prywatną stację, powiększając jeszcze bardziej tę przepaść, itd.

W tym miejscu aż prosi się o pewną publicystyczną dygresję. Afera Rywina polegała na tym, że za cenę 17.5 miliona dolarów Lew Rywin obiecywał Agorze, wydawcy Gazety Wyborczej, przywrócenie możliwości starania się o ogólnopolską telewizję, wówczas gdy usunięto z projektu ustawy słowa „lub czasopisma”. Przysługa ta kosztowała na ówczesne pieniądze 60 milionów złotych, dziś kosztowałaby tylko 55

milionów złotych. Nie wchodząc w szczegóły na temat, kto i ile dziś zarabia w mediach, z całą pewnością można stwierdzić, że osłabienie mediów publicznych zapewni mediom prywatnym tyle, że suma, jaką Rywin oferował Michnikowi to, mówiąc językiem wystąpień sejmowych, tylko mały „pikuś”. Te nadplanowe przychody trzeba pomnożyć przez lata i powiększać je proporcjonalnie do stopnia osłabiania się mediów publicznych. Jak widać, nie chodzi o to, aby zmieniać jakieś pojedyncze słowa.

Zakulisowe inspiracje

Utajniony proces powstawania założeń nowej ustawy medialnej, lekceważący sposób informowania opinii publicznej o jej planowanych regulacjach, brak z prawdziwego znaczenia konsultacji społecznych i forsowanie szkodliwych dla polskiej kultury wielu zapisów ustawy nie wyczerpuje listy „grzechów” ustawodawców, a raczej pomysłodawców nowej ustawy medialnej. Jest ona bardzo długa.

Skoro nie możemy się dowiedzieć, dzięki komu i dlaczego powstała tak zła ustawa i skąd taka determinacja, aby ją szybko wprowadzić w życie, nie pozostaje nam nic innego, jak poszukiwanie przyczyn w filozofii działania Platformy Obywatelskiej i rządu Donalda Tuska. Stąd uzasadnione są podejrzania o zamiar doprowadzenia mediów do prywatyzacji poprzez ich upadłość w celu przejęcia przez swoich. Stąd podejrzania o spolegliwość wobec mediów prywatnych, które nie tyle że konsekwentnie stoją przy Platformie Obywatelskiej, ale przede wszystkim występowały i występują przeciwko temu, co reprezentuje PiS. Biznesmeni mediów prywatnych, zdaniem Jarosława Kaczyńskiego, są tą czwartą nogą od stołu, przy którym z politykami, gangsterami i służbami specjalnymi załatwiane są sprawy polskie.

Nie można wykluczyć, że za genezą nowej ustawy medialnej kryje się jeszcze inna inspiracja, międzynarodowa, a mówiąc ściślej niemiecka, choć niewykluczone, że afiliowana przy Unii Europejskiej. Niemcy konsekwentnie budują swój ład medialny w Europie Środkowo-Wschodniej. Utrzymują własne rozbudowane, stabilne i szanowane media publiczne oraz wspierają swoje liczne media prywatne. Niemcy, którzy dominują na polskim rynku prasowym, nie zrezygnowali z możliwości rozwoju na Wschodzie rynku mediów elektronicznych. Dopóki jednak polskie media publiczne zajmują tak duży rynek odbiorców i reklam, inwestycje te okazują się za drogie i zbyt ryzykowne. Staną się realne, gdy media publiczne w Polsce będą odgrywały mniejszą niż dziś rolę. Gdy będą zajmowały mniejszy rynek reklam i będą miały mniej odbiorców. Niemcy myślą tak samo jak polscy właściciele mediów prywatnych, którzy, niewykluczone, że w wejściu poważnego zagranicznego kapitału upatrują źródeł swoich dalszych sukcesów finansowych. Może to więc być myślenie wspólne.

W oczekiwaniu na normalność

Jest faktem, że obchodzona przez rząd z wielką pompą 20. rocznica odzyskania wolności przez znaczną część społeczeństwa była odbierana ambiwalentnie. Jeśli chodzi o media publiczne, wiemy, przez kogo były one zarządzane w pierwszych latach demokracji. Prezesem telewizji został Andrzej Drawicz, były tajny

współpracownik SB. Wzmacnianie przez prezydenta Lecha Wałęsę „lewej nogi” zapewniło dawnym komunistom i jednej z opcji lewicowych panowanie w mediach publicznych na całe lata. Aż do roku 2005, kiedy to media zaczęły się po raz pierwszy otwierać na prawdziwy pluralizm. Wiemy też, kto i przez ile lat miał większość w Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji i jak kształtował rynek mediów. Próby poważnego reformowania mediów publicznych zapoczątkowane dopiero po 17 latach od „odzyskania wolności”, w połowie 2006 roku, skończyły się nie tak dawno, wraz z początkiem rządów Platformy Obywatelskiej. Do mediów wracają starzy komunistyczni wyjadacze radiowi i telewizyjni, którzy przez cały PRL instytucje te zawłaszczali dla siebie. Odradzają się największe plagi tych instytucji: koniunkturalizm i oportunizm.

Media publiczne przez minionych 20 lat nie zdążyły stać się w pełni publicznymi, czyli wolnymi, demokratycznymi, pluralistycznymi i obywatelskimi. Ta szansa ciągle jest jeszcze niewykorzystana, ale nowa ustawa medialna przekreśla ją raz na zawsze. Media publiczne są potrzebne każdemu państwu demokratycznemu, ale szczególnie potrzebne są Polsce. Nasza oryginalna kultura, geopolityczne położenie, chrześcijańskie korzenie, procesy globalizacji, integracji Unii Europejskiej, nakładają na polski rząd, parlamentarzystów, na wszystkie wrażliwe na polski los elity intelektualne, obowiązek utrzymania i nieskrępowanego rozwoju naszego potencjału kulturalnego. Społeczeństwo utrzymywało media publiczne przez trudne lata PRL-u i minione 20 lat. Przypominam, ten fakt, gdyż to ono jest właścicielem wszystkiego, co media wytworzyły i zachowały, także całego dorobku archiwalnego. Zwycięstwo wyborcze, większość sejmowa, prawo tworzenia rządu i podejmowania decyzji nie dają jeszcze legitymacji do wywracania nam kultury narodowej. Polskę stać na silne media publiczne, także finansowo. Muszą jednak tego chcieć ci, którzy podejmują dziś najważniejsze w państwie decyzje.

Niech nikt nie wmawia nam, że nie ma sposobów na ratowanie mediów publicznych i takie ich usytuowanie w państwie, by spełniały oczekiwaną od nich ważną rolę. No chyba że się po prostu nie lubi własnego państwa. Wówczas Polska rzeczywiście może się jawić jako „nienormalność”. A komu się tak jawiła?

Wojciech Reszczyński